

„Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!”



„Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!” - pamiętacie Państwo te słowa? To Horodniczy, bohater „Rewizora” Mikołaja Gogola, zwraca się na końcu do widzów spektaklu, ukazującego głupotę, chciwość, małość współczesnego mu społeczeństwa.

Przychodzą mi te słowa na myśl, kiedy sięgam do wytworów dzisiejszej kultury masowej. Ale nie zawsze jest mi do śmiechu.

Dwa przykłady. Najpierw „1670” - komediowy serial „Netflixa”. Przez część mediów lansowany jako poważna roślizprawka z fatalnymi tradycjami I Rzeczypospolitej, uciskiem chłopów i słabością państwa, już w pierwszym sezonie odszedł od styczności z realiami Polski czasów króla Michała Korybuta i hetmana Sobieskiego. Realizatorzy serialu mrugają ciągle okiem do widzów, wyśmiewając nasze ideologie i wady, te z roku 2025. W drugim sezonie niestety przaśny humor dowcipów staje się jeszcze bardziej przaśny, staczając się do poziomu dzisiejszych telewizyjnych „kabaretów” - czyli w pobliże dna.

Ale skoro takie właśnie „kabarety” zapychają kilkanaście różnych kanałów telewizji i znajdują miliony odbiorców - to może rzeczywiście śmiejemy się tutaj z samych siebie, choć powinniśmy raczej nad sobą płakać?

Szyderstwo, jak z firmy Monty Pythona, balansują dobrodusznie na ogół zarysowane postaci, nawet „krwiożerczej” szlachty. W jednym tylko punkcie nie ma takiego balansu.

Dla Kościoła, katolickiej tradycji nie ma taryfy ulgowej. Zaczyna się „niewinnie”. Główny bohater, wyjątkowy głupek - szlachcic Jan Paweł, chce być najstynniejszym Janem Pawłem w dziejach Polski. Ależ udany żart... Jedyna absolutnie czarna, niczym niebalansowana postać buduje w serialu jego filmowy syn - jezuita. Tu jest samo zło: rekordowa pazerność i cynizm razem połączone. Czyniony w filmie wielokrotnie znak krzyża jest zawsze wstępem do podłości. I widzowie to łkają, krztusząc się ze śmiechu. Taką mamy kulturę - masową. Ale jest też kultura masowa - wysoka. Do takiego miana pretendują filmy kinowe niektórych reżyserów. Wśród nich jest Paul Thomas Anderson, twórca serii filmów mistrzowskich od strony formalnej i niebłahej w zawartej w nim moralnej refleksji: „Magnolia”, „Mistrz”, „Aż się poleje krew”, „Nie widmo”.

Teraz wchodzi na ekrany „Jedna bitwa po drugiej”. Początek - pochwała „Antify”, radykalnych bojówek lewackich, w dodatku pełna przerysowanej wulgarności, która z jednej strony reprezentuje czarnoskóra liderka bojówki (Teyana Taylor), z drugiej - amerykański oficer, urodzony faszysta (Sean Penn). Jak napisał jeden z krytyków: „Marksizm i faszyzm w erze dyktatury zaimków i restauracji komiksowego faszyzmu. Lewackie śnieżynki vs zblazowani podstarzali neonaziści w sweterkach Lacosty”.

Stopniowo wyłania się jednak inny temat: rodzinny. Grany przez Leonardo DiCaprio partner bojowej Teyany, w wyniku głównej intrygi zostaje z małym dzieckiem na rękę.

Wracamy do niego 16 lat później. Córka jest już dorastającą panną, kiedy dopada ją i jej ojca przeszłość. Ratunek przed ścigającym ich demonicznym Seanem Pennem przychodzi ze strony „tygrysa w kimono” - nauczyciela karate (Benicio del Toro). Tak w skrócie przedstawia się linia akcji prawie trzygodzinnego filmu. Dech zapiera jego realizacja, która poza grą aktorów, scenariuszem precyzyjnym jak strzał z Glocka, napędza fenomenalna muzyka Jonny Greenwooda. Scena pościgu samochodów (ilu? - to największa niespodzianka) przez „strumień wzgórz” przejdzie na pewno do historii kina.

Można ten film odbierać jako komedię, satyrę (z kogo się śmiejecie?), ale na pokazie premierowym w Nowym Jorku reżyser powiedział, że najważniejsze jest niepokazane w filmie 16 lat: opieka ojca nad córką, specyficzne bohaterstwo trudu wychowania, miłość. Bo to jest film na pewno także o tym, o czym mówi sonet 12 Szekspira: „Przed kosą Czasu bowiem nic cię nie ustrzeże - Prócz potomstwa: w nim przetrwasz, gdy Czas cię zabierze”. Tylko czy grany przez DiCaprio bohater wychował, kochał i ratował własną córkę? I czy o znaczeniu więzi rodzinnej, o ojcostwie - tak poniewieranym w tysiącu innych filmów - można już opowiadać tylko w tak zakamuflowany sposób, przemycając poważną refleksję pod płaszczem „Antify”?

Autor:



prof. Andrzej Nowak

Historyk, publicysta, sowietolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik pracowni Dziejów Rosji i ZSRR w Instytucie Historii PAN.